

Nr. 17. Z dnia 18 października 1903 r.

NOWY TRUST.

O wiele zawiele mówi się, pisze się, debatuje się, koresponduje się o brakach, potwornych niedomaganiach, rozpaczliwych barbarzyństwach Zakopanego, odbywają się nawet gremjalne kiwania palcami w butach i pantofelkach, nazywane eufemicznie wiecami gości. Na tych wiecach wybiera się pontyfikalnie kolosalnego dygnitarza podhalańskiego pana ambasadora czy delegata gości, wszyscy, wszyscy „troszczą się o wiele“, a tu tymczasem rozchodzi się o drobnostkę, o jedną bagatelkę, o d o b r ą w o l ę. Dopóki mój niniejszy projekt nie znajdzie poparcia „sfer miarodajnych“, dopóki moja idea dzisiejsza nie ucieleśni się sposobem wesołej kooperacji wszystkich pragnących wzrostu, rozwoju i przyszłości Zakopanego — dopóty „uroczy zakątek Polski“ będzie tym ciężkim footballem, jaki od kilku lat rzucają sobie „potężne“ stronnictwa i „dzielne“ jednostki to na głowy, to w brzuch, to w kolano, gdzie się da...

W zgiełku wojennym, w chmarach frazesów i zarzutów, w dymach gazeciarskiej blagi nawet, arcykrytyczne jednostki dają się łatwo otumanić pozornymi racjami tego czy tamtego obozu, a kiedy zgiełk cichnie, jarmark ludzkiego mrowiska się kończy, pokazuje się w rezultacie, że ani murzyn nie jest tak czarny jak djabeł, ani djabeł tak murzynowaty jak go malowano, ani fatalnie nietrafnie pomazany bohater ludu... męczennik idei... dr. Stockmann z Zakopanego, ideał studentów i marzycielek niczem a niczem na te piękne aureole nie zasłużył i że poza całą „akcją“ i „reakcją“ pozostaje w dorobku moralnym tylko jeden wieczny święty dogmat o głupstwie ludzkiem i jego nieśmiertelności, a drugi lokalny dogmat o niesłychanie nienormalnej atmosferze, której wszyscy tak autochtoni jak napływowi, tak konserwatyści jak rewolucjoniści zdrowi i chorzy mamy już więcej niż dość. W literackiej interpretacji tak Zakopane jak Daudeta Tarascon, Szczedryna Powszechonie, a Żeromskiego Cisy nadal pozostają kapitalnym terenem, na którym wielkie trusty walczą z mniejszymi trustami a silniejsi z mocniejszymi. Wierzcie mi jednak, że los ten ponadfiglarz, ten fantasta zawodowy w żadnym wypadku nie był koterystą, w przeżadnym, i tyle ziarek egoizmu, bezdennej blagi, śmiesznego kłamstwa ponasypywał w duszki „bohaterów“ chwili ile dzielnej dobroci, rozsądnej energji i przeciętnej poczciwości w duszki tych lokalnych satrapiąt, despotów, wrogów reform.

Artysta ten, święty ślepiec, błądzący w współczesnem życiu parszywem nad wszelki wyraz, zapatrzy się czasem w tych „kolosalnych“ herosów chwili z wyżyn swej czystości moralnej i wtedy zdaje mu się w pięknem omamieniu, że ten rycerz ma srebrną zbroję Lohengrina, a tamten zakuty w czarny szmelc księcia ciemności, jest ciemności wysłannikiem. Tymczasem wnosi się światło drobiazgowych empirji i skrupulatnych miar i wag i pokazuje się zgoła smętnie, że ten srebrny Lohengrin to oportunista opozycji, czerpiący z wszelkiego radykalizmu rewolucji takie same profity, jakie czerpią płazy syba-

rytyczne z wszelkiej reakcji i ciemnoty. Pokazuje się, że ten Lohengrin to damskiej szarlatanji wirtuoz, kokietka w męczeńskiej koronie na ślicznie ufryzowanej główce, to przeciętny mały człowiek powołany do reprezentacji bohaterskiej złośliwym konceptem przypadku, a w społecznej orce zwykły fachowiec chodzący koło swych interesów z gorliwością i wyłącznością drwiącą z wszelkich cichych altruizmów bezdomnych i reklamowych pracowników...

Na tem dość. Sytuacji śmiesznych przeciągać nie należy, choćby kosztem ich przerwania padały druzgotane dekoracye. W chwili, kiedy reżyserja życia publicznego przekonuje się, że bohaterską rolę powierzono rękom tylko charakterystycznego aktora do ról prowincjonalnych, z tą chwilą kurtyna powinna zapaść i ktoś z nas panów reżyserów publicystów winien wyjść przed kurtynę i ogłosić publice, że spektakl przerwany z powodu „niedyspozycji“ pana bohatera. To są moje przesadnie osobiste przekonania, których nie narzucam, ale z którymi trzeba się zamanifestować, jeśli się nie chce grać w tej źle obsadzonej komedyjce zakopańskiej roli komparsa gapiącego się z uwielbieniem na krzykliwego „kommissärreisera“ deklamującego z szarżą o inwestycjach, asanacjach, reformach...

Do takich koniecznych rewizyj istotnego stanu rzeczy namawiałbym też wszystkich, a tymczasem silny doświadczeniem lokalnem i z dezilluzji czerpiąc naukę na przyszłość, przystępuję do istotnego tematu, do wesołego projektu, do zaproponowania wszem wobec każdego z osobna w Zakopanem zawiązania nowego szerokiego trustu.

Rzecz moja przedstawia się następująco: Nigdzie w miejscach klimatycznych, stacjach górskich kąpielach, zakładach dyetycznych, ba nawet sanatorjach, na żadnych plażach nadmorskich, na żadnych reglach górskich, w żadnych dolinach willegiaturnych nie nudzą się ludzie tak nałogowo jak w Zakopanem podczas generalnego sezonu t. j. w lipcu i sierpniu. To jest paradoz tak wołający o pomstę do nieba, że prawdy jego nikt mi, kto częściej bywał w Zakopanem, zaprzeczyć nie może.

Może jeszcze ohydniej nudzą się ludzie n. p. w Kolbergu (Kołobrzegu) ale zważmy, że to filistry niemieckie, i z ziewnięciem zamierają; może ohydniej nudzą się ludzie w Montreux, ale zważmy że w tamtejszych pensjonatach spoczywają po pracach rocznych amerykańscy i rosyjscy inżynierzy, angielscy uczeni, francuscy pisarze i najwyższe dziesięć tysięcy Europy, które przyjeżdża, aby w bezgranicznej ciszy absolutnie wypoczywać. Jest następnie $x + y$ miejscowości, gdzie przyroda manifestuje się tak oślepiająco, że przyjeżdża się do nich i pielgrzymuje, tylko aby podziwiać, odetchnąć i z cudami w duszy i w pamięci odjeżdżać... Na to się u nas w Tatrach idzie do jeziora Szczyrbskiego, do Smereczyńskich Stawów, na Rysy; w Zakopanem się mieszka. „Państwo z dolin“ przyjeżdża na sześć do ośmiu tygodni, co młodsza generacja gna tam, gdzie „swoboda czeka na cię“, a ciżba inteligentna, osoby z miast w nowych warunkach nudzą się, zanudzą się. Wszystkich w góry wysyłać nie można raz z powodów astmatycznych, reumatycznych, newralgicznych, następnie z tej racji, że i Koszyste i Garłuchowie mają swoją cierpliwość i choć wiele znoszą na swych wirchach i przełęczach, upłazach i perciach — ale ostatecznie jakieś kataklistyczne trzęsienie ziemi, jakiś wulkaniczny wybuch może być jedyną zemstą wiecznie deptanych opluwanych, odpadkami cygar, czekolady i „Kurjera warszawskiego“ obrażanych granitowych tytanów.

Otóż tedy gdy wszystko co rzeźkie, lotne, marzycielskie i rozkochane wyrusza w regle, pozostają w nizinach rodacy z trzech zaborów, panie, panowie, panny i znowu panie, które, wierzcie mi, w tym „uroczym zakątku Polski“, jak pięknie piszą p. Rabscy, nie wiedzą istotnie co z czasem zrobić. Wszędzie w specyficznie-phtyzycznych miejscowościach najgorsze typy chorych bawią się w wolnym czasie i to na wielką skalę, a inicjatywa tych zabaw wychodzi nie od tych, którzy z dalekich kresów przyjeżdżają, ale od tych, którym Opatrzność dała szczęśliwym trafunkiem piękne wille, pensjonaty „boarding-housy“, hotele, restauracje, kawiarnie, od tubylców. Więc i w tym wypadku jak wielu innych, uczmy się od Bawarów, Szwajcarów, Tyrolczyków. Cóż nie wymyślają np. w takiem Davos i Davos Platz, znanem niby z niesłychanych nudów; koncerty, teatry, odczyty, wszystkie rodzaje sportu alpejskiego, wyścigi na łyżwach, totalizator od „ski“ uprzyjemniają pobyt, zawodowym suchotnikom. W takim Goerbersdorfie, arcyphtyzycznej oazie ludzkiej, gra cztery razy na tydzień świetna orkiestra wojskowa, przyjeżdżają przeróżne „ensemble“, urządzają festyny w parku, loterje fantowe i t. p. Nie mówię już o Meranie, gdzie jest stały świetny teatr, pierwszorzędna kur-orkiestra, orkiestry ludowe, elegancki „Variete-Theater“, teatr ludowy, gdzie przyjeżdżają i „stars“ z Monachium, Wiednia, Berlina, gdzie arystokracja angielsko-phtyzyczno-żydowsko-węgiersko-wiedeńsko-dworska urządza stylowe kiermasze holenderskie, gdzie stały tor wyścigowy, dokoła zamki czarodziejskie, gościńce, elektrycznie oświetlone tarasy kawiarniane i wszelkie cuda komfortu, kultury i kooperacji. I oto padło słowo fenomenalnej doniosłości, kooperacja, które w Polsce powinno błyszczeć z tablic na rogach wszystkich ulic z wykrzyknikami!! Do tego wzywam zakopańskie właścicielki wszelkich pensjonatów, nawet tak swojsko-luxusowych trzech czy czterech zakopańskich „arrrystokrrratycznych pensjonatów“, wzywam panów hotelierów, restauratorów, posiadaczy will i parcel: zejdźcie się państwo pewnego pięknego popołudnia i zawiążcie piękny komitet w stylu Aix-les-Bains, Mentony, Ville-Franche, Beaulieu, Roquebrune, w stylu Berchtesgaden, Traunstein, Garmisch, Partenkirchen, w

stylu wielkiego trustu szwajcarskich hotelierów „Comitée zur Hebung des Fremdenverkehrs“, Gastwirth-Bund“. Dotychczas wszystkie obowiązki tutaj zrzuca się z pleców, a że Zakopane jest na dwa lub trzy lata przed haniebnem wyjściem z mody (u tych państwa, co modą się kierują), temu winien albo Aryman albo Ormuzd, u tych pan Chramiec, u tamtych pan Janiszewski. A tu winna tylko i wyłącznie apatyczna ospałość, feminiczny brak rzutkiej przedsiębiorczości i przeniesienie symbolu Zakopanego w sferę pojęć społeczno-politycznych konfliktów.

Osobiście jestem np. absolutnym wrogiem zakopiańskiej Harmonji w jej niemowlęcej współczesnej nam fazie; twierdzę apodyktycznie, że na czas lipca i sierpnia ta Harmonja winna podróżować po małych miastach Galicji np., a tu powinna się produkować orkiestra w dosłownem tego słowa znaczeniu, nie z tak ohydnie prymitywnym, wprost abissyńskim repertuarem. Wieniec polski dwa razy na dzień strawić już mogą w tej jego instrumentacji chyba panowie, na słowo polscy, ze Lwowa; a ten wieniec pływa biedny i uroczysty w wielkiem stawisku wprost potwornych pot-pourris operowo-operetkowo-praterowo-gminnych... granych rozczulająco... Tylko tutaj nasza letnia stolica może znosić brak letniego teatru dla 10.000 inteligentnych Polaków, przewijających się od maja do października przez Podhale. Nie ma dalej poczciwego parku dla filistrów z mleczarnią, kioskiem gazet, kioskiem sodowej wody, kioskiem z wagą do pomiaru nabytych w willegiaturze funtów, kioskiem z błyskawicznym aparatem, w którymbyś poczciwy człowieku z miasta dostał 12 swych wizerunków na kartkach pocztowych za kwotę 1 fr. 50 cnt. czyli 1½ marki, w Austrji 1 złr. 20 ct.; wszystko to zaś są rzeczy bardzo ponętne, bardzo sympatyczne i bardzo rentabel...

Trzymam zakład o konia z rzędem tureckim, że majątek zrobi ten pierwszy Kolumb, który 8.000 złr. zdecyduje się w Zakopanem zaryzykować na wybudowanie kiosku z gazetami (oblepionego anonsami o mieszkaniach), kiosku z sodową wodą i łakociami dla dzieci, pensjonarek i rozwódek, kiosku z wagą czułą nad wszelki wyraz na ciało filisterskie, kiosku z aparatem błyskawicznym za 600 złr. i mleczarni, mleczarni, mleczarni. Powiedzieć np. że w Zakopanem niema mleczarni, to powiedzą Amerykanie: humbug! paradox — a ja mówię skandal i zaparcie się dobrych interesów na rzecz jednego interesu, ale aż... w Kuźnicach...

Odpowiedzą mi na te wszystkie śledziennicze medytacje nałogowi obrońcy „status quo“: Zakopane ma odczyty. Oh mon Dieu, mon Dieu! więc na to biedny Warszawiak, kresowiec Poznańczyk, ma jechać w góry, aby jednego dnia pouczono go, że Polska ma być socjalistyczną — drugiego, że Polska ma być panslawistyczną — trzeciego szowinistyczną, że Polska ma być znowu czwartym wymiarem messjanistycznym — albo, że Polska ma być dla... Zakopanego... ewentualnie, aby go na... rautach pouczano, że satyra ma być to rumbarbarum, to... assafetydą? Wierzcie mi, bo nad miarę przeciętnej cierpliwości było tych pojedyńczych i gremjalnych odczytów, nad miarę różnych harców amatorsko-dyletanckich, a czas już uderzyć w strunę drugą, t. j. w istotne urozmaicenie i uprzyjemnienie „rodakom“ pobytu w Podhalu. Przed sezonem winien wyjść program zabaw na wielki sezon z góry uplanowany: dnia tego a tego a znów tego a tamtego: koncert p. X., koncert chóru Y., premiera „stałej“ filji teatru krakowskiego, festyn ludowy w Jaszczurówce... kiermasz trzydniowy w parku „miejskim“, Bal... wyścigi góralskie w Poroninie... Soire pyrotechniczne w Kościeliskach, loterja fantowa w Strążyskach... dzień w Morskiem Oku... beczki smolne na wszystkich wirchach... Święto Grunwaldu i Tannenbergu... a może z czasem raut na cześć gości węgierskich... czeskiej Filharmonji koncert... bal angielskiej kolonji... „Go ahead, Gooddam... goodby...“

I do tej wesołej akcji wzywam wszystkich i wszystkie dzielne wdowy i wielce czcigodnych business-manów. Ukonstytuować czas „Komitet energicznych Przyjaciół Z.,“ czy „Komitet dla reklamy i reformy Z.,“ czy „Towarzystwo imienia Chałubińskiego“, obsadzić Krupówki drzewkami i przejąć kontrolę nad odczytomanią, wziąć w entepryzę wszelkie sale i wszelkie produkcje zakopiańskie, wymyślać niesłychane festyny na budowę wspaniałego Kwi-Salonu, zaprzęgnąć do wesołej pracy pięknych paniczów i urocze dziewice, a nad wesołą a jednak bardzo smutną wojną wszystkich z wszystkim, czerwonej i białej Szarotki... raz już do kroć... tysięcy przejść do jakotakiej harmonji...

Adolf Neuwert Nowaczyński.

Projekt nowej ustawy dla gminy Zakopane.

Na wskutek petycji gminy Zakopane, dnia 13 października wniosły do Sejmu Klub krakowski i lewica sejmowa projekt nowej ustawy dla Zakopanego, jako uzdrowiska.

Poseł dr Tadeusz Rutowski opracował, jak to już donosiliśmy, nową ustawę na podstawie gminnej ustawy krajowej z dnia 3 marca 1896 (D. u. k. Nr. 51) i ustawy zdrojowej czeskiej obowiązującej w Karlsbadzie. Projekt dra Rutowskiego przyznaje gminie zarząd uzdrowiskiem, lecz rozszerza ordynację wyborczą gminną i tworzy cztery koła wyborcze, dając tym sposobem moż-

ność czynnikom inteligentnym, i mającym większe przedsiębiorstwa uzyskania rozleglejszego wpływu na zarząd gminy, niż na to dotychczasowa ustawa zezwalała.

Nowej ustawie, według projektu przedłożonego podlegać będzie gmina wiejska Zakopane i na jej obszarze oznaczona stacja klimatyczna. W poruszonym zakresie działania gmina wykonywać będzie sprawy stacji klimatycznej, będzie też odpowiedzialną za całość majątku klimatycznego. Przez to ujednostajnienie administracji, zakres działania gminy znacznie się powiększy i obejmie wszystkie te prawa, które dotychczas przysługiwały samodzielnej stacji klimatycznej, i tak:

Rada gminna rozporządzać będzie majątkiem stacji klimatycznej, będzie więc mogła według własnego uznania używać funduszu tego na zakładanie nowych przedsiębiorstw i stawianie gmachów. Wymierzać będzie i pobierać wszelkie taksy i spłaty jak n. p. klimatyczne, na muzykę, oświetlenia, wodociągi i t. p.

Władza nadzoru sanitarnego przechodzi też w zakres działania gminy, której obowiązkiem będzie zobowiązać jednego z miejscowych lekarzy do wykonywania dozoru, utrzymywać dom izolacyjny pod fachowem kierownictwem, troskać się o zdrowie biednych i czuwać nad desinfekcją mieszkań.

Księgi i rachunki funduszu klimatycznego prowadzone będą oddzielnie od ksiąg i rachunków funduszu gminy.

Oto w głównych zarysach projekt zmiany ustawy, obowiązującej dotychczas Zakopane. Zapewnia on gminie większą egzekutywę i pozostawia swobodę w zaprowadzeniu koniecznych ulepszeń.

MAŁŻEŃSTWO TECI.

Nie było to nic nadzwyczajnego ta Tecia.

Dziewczyna rosła, trochę pochylona. Profil buldoga, a oczy smutnej sarny. Urodziła się gdzieś w chałupie pod Nowym Targiem, w chałupie z belek złotych, obciosanych grubo, a tak miejscami gładkich, że jak w tafli źwierciadła przeglądały się w nich zielenie dalekich polan lub liljowy błękit nieba.

Służyła w pensjonacie zakopiańskim; dla pozoru cywilzacji zamknęła piersi w tanią sznurówkę, spłaszczyła je i barbarzyńsko ścisnęła bujną kibić górskiej dziewczyny.

Przyodziała się w czarne łachmany, a na szyję wiązała gorąco żółtą wstążkę. Spała w suterenie i szorowała usilnie codzień paznogcie, aby była „czysta, gdy służy do stołu“.

Ten i ów w bezczynności kuracyjnej zwrócił uwagę na łatwą zdobycz. W sezonie letnim żółte wstążki Teci zmieniały się często.

Z ciemni nocnej wynurzała się rosła postać Teci, obiegała fontannę, nikła w czerni świerków. Wreszcie zatrzymywała się między limbami. Wiatr halny rozpalał na jej policzkach żar przelotny. Tecia chłonęła gorący wiew. Przed nią wykwitał cały klomb, cały kosz sennych maków. Padały z nich liście na parter nasturcji złotych i rezed o czarującej woni.

W pawilonach gasły zwolna światła.

Jedno po drugiem okno przestawało czuwać złoto-czerwonym blaskiem.

Tylko w suterenach Maciek podśpiewywał cichą ladajaką piosenkę — co to ani w niej słów, ani melodji.

Piosenkę, jakby pochwytaną pajęczą nić cienką, nieuchwytną, co się mota koło dusz ludzkich, koło ludzkich serc.

Tecia patrzy na maki, piosenki słucha. I jej profil dobrego w gruncie, a na pozór srogiego buldoga, nabiera miękkich linij rozstęsknionego dziecka.

W swych modnie skrajanych przez żydówkę uszytych wełnach, zdławiona żółtą wstążką, ściśnięta gorsetem, stoi góralska dziewczyna i pije halny wiatr; pije halną woń..

I myśli.

Myśli, że już ma dwadzieścia ośm lat, że musi za mąż iść...

Hej!...

. . . .

Do suteryny, gdzie tak tęsknie Maciek zawodzi, otwierają się drzwi i wchodzi zgrabny mężczyzna.

Tecia widzi go dobrze przez klomb maków, bo suterena oświetlona jasno, a duże okna otwarte, aby „powietrze weszło“.

Franek podchodzi do tapczana, na którym ma legowisko. Rusza się dobrze, niemal lepiej, niż niejeden z gości zakładowych. Na ścianie wiesza zegarek i systematycznie nakręca stojący obok łóżka, na paczce budzik.

Tecia patrzy na niego z uczuciem dziwnie skombinowanem. Ciągnie ją coś jak żelaznym hakiem za serceś do tego człowieka, a przecie i wstręt i gniew szarpie nią jednocześnie.

Przed chwilą powiedziała mu „nie chcę“, wyrwała mu się z ramion. Teraz poszła patrzeć na niego pod suterenę i patrzy tak, jakby patrzył człowiek, widzący przed sobą nagle... przeznaczenie swoje.

Franek w tej chwili siedzi na tapczanie i przeczesuje grzebieniem włosy, które ma gęste, piękne

i jasne. Wogóle jest to jeden z tych mężczyzn, za którymi kobiety „latają“. Więc pewna brutalność, ciągła przechwałka wokoło ust silnie zarysowanych, duża siła w spojrzeniu i ta pewność że wystarcza wyciągnięcie ręki, aby znaleść ciche poddanie się i radość z doznanej łaski. Franek nie jest jednym z tych, którzy o ciszy wieczornej tulą się ze spojrzeniem dobrem oczu biednych i zmęczonych do dłoni kobiecych; on raczej porwie sam i zgniecie w jakimś pastwiącym się uścisku, ogarnie ramionami, wchłonie w siebie, przejmując trwogą.

A potem zpod rzęs przymkniętych spojrzy, jakby chciał wybadać, co się da jeszcze wziąć z tej istoty, w której sercu na dnie, drży od bólu duma i przylegała zdławiona nienawiść.

Patrzy i — oblicza

Tecia wie to wszystko, wie, że ma jeszcze po „ojcach“ kilka papierków i że Franek po ślubie chce za te pieniądze jechać do Ameryki. Niema w nim sentymentu. Czuje, wie, iż za morzem dorobi się majątku. Umie nawet wymówić słowo *business* tak, że całe sutereny się dziwią, jak mu to gładko idzie.

A on — nic, bestja. Podrzuci śliczne włosy, wydmie wargi i mówi *business*, aż Maciek przestaje grać na harmonji i siedzi bardzo zdziwiony. Dziewczęta te „od stołu“, gdy przykucną przy oknach sutereny, cieszą się także i dziwią. Niektóre zazdroszczą Teci, inne podśmiechują się i potrącają wzajemnie.

Wszystkie jednak zgadzają się na jedno.

Tecia musi wyjść za mąż.

Ma dwadzieścia ośm lat.

Musi już iść za mąż.

* * *

Przez senne maki — na skrzydłach spojrzeń płynie biedna myśl Teci w głąb sutereny.

Tam jest jej przeznaczenie i dusza dziewczyny trwoży się i lęka.

Instynktem nieufnej góralki wyczuwa na głębszą warstwę tego związku, który powlecze ją przez bezmiar wód, w inny świat przed którym drży.

Ani halnego wiatru, ani szmeru i jęku smreków, ani chałup ciosanych, jak topazy, w których grają tęcze, ani mgieł różowo-białych, rozpiętych po szczytach gór...

I — tej zakładowej ciżby, gwaru, muzyki, szczęku talerzy, śmiechu w suterenie, majowych nabożeństw w kaplicy o wiosennych wieczornych godzinach...

„Serdeczna matko“, a potem „Zdrowaś Marja“ — i ta litanja szemrana całą masą głosów kornych, nieśmiałych.

Tak, to wszystko pozostanie poza nią — to biedne kółko jej życia. Musi z niego wyjść po to, aby wejść w jakąś czerń, w coś nieznanego i groźnego. Odarta ze wszystkiego, co było jej ubogą własnością i treścią, powlecze się w ślad za mężczyzną, dla którego jest „potrzebna“, jako podstawa jego egzystencji. Prawo, zwyczaj, sakrament zwiąże ją nierozerwalnym łańcuchem. Dojrzałość jej cielesna zmusza ją do zupełnej abnegacji z tego, co się składało do tej chwili na środowisko, w którem istniała. Odrzucić precz musi od siebie tę warstwę przyzwyczajeń, pragnień, ulubień, zmartwień i uśmiechów i ponieść wszystko w daninie człowiekowi, którego prawie nie zna, który po zaułkach korytarzy wstrząsa nią łamiącym kości uściskiem i przeraża butą, z jaką mówi o morskiej przeprawie i „naciąganiu“ — amerykanów.

Taka przed Tecią czerń, i coś tak, jakby łkało w tej czerni, jakby się trzepotał jakiś zraniony, spętany ptak.

A to coś, co łka, co się tam w nieznanem trzepocze — wiąże się z nią tak silnie, jakby to ona była sama.

Tylko to jest drobne, słabe, biedne — tragicznie biedne — jeszcze biedniejsze, niż ona w tej chwili.

Po spalonych od żaru kuchennego i prostego mydła policzkach Teci płyną dwie duże łzy.

Dziewczyna zepsuta, kto wie przez co przywleczona — z głębi serca wykwitła najczystszemi łzami.

Przesłoniły jej głębię, suteren, tapczan, jasne włosy Franciszka — czerwony punkt jego wirginji — mgłą dziwną przesłoniły jej wiele.

Nie przesłoniły tylko sennych maków, i limb, i smreków, nie przesłoniły wyczutych w dalekości gór, ani żlebów, w których srebrzy się śnieg..

* * *

Idzie Tecia w teorji dziewcząt, idzie do kuchni do sali jadalnej — jedna z procesji odzianych w czarną wełnę sylwetek, rozwianych bielą fartuchów.

Wchodzą cicho na salę jadalną, gdzie długiemi szeregami pochyliły się twarze rożne i w różnicach tych niepokojące nad czystą porcelaną talerzy, które z rozrzuconych liści jesionów i kwiatów, gwoździków się wydostają. Dziewczyny idą — obojętne, czasem ironiczne, przystrojone w zniszczone wstążki — wszystkie jednakowe linją identyczną wyciągniętych rąk, na których srebrzą się półmiski.

Wchodzą wolne, uważne, cierpliwe, o grzbietach pochylonych, i rozchodzą się czarnemi cieniami w jasności złotych ścian sali.

Jedne już automatycznym sennym gestem podają srebro półmisków i biel różową piany jabłecznej wyciągającym się ku nim rękom — inne jeszcze wchodzą wolne, ciche i posłuszne — zmęczone jednostajnością ciągłej posługi bezmyślnej.

Tecia jest prawie na czele szeregu. Idzie smutna bardzo, pochylona więcej niż inne.

Na szyi jej żółta wstążka kryje źle siną plamę, wycałowaną przez brutalne usta, powieki jej zasnuły oczy, które, więcej niż kiedykolwiek mają wyraz smutnej, zrezygnowanej sarny.

Jutro jej ślub — zaprosiła nawet „państwa“. Wesele będzie sute, policjantów dwóch zapłacono,

aby stali całą noc, żeby trupa nie było, bo że noże i ciupagi błyskać będą, o tem wiadomo.

Jakżeby inaczej porządne wesele się odbyło!

Jutro Tecia nie wejdzie z teorją dziewcząt, niosąc sennym gestem srebrny krąg półmiska na czysto umytej ręce.

Jutro o słonecznem południu zawiozą Tecię i jej gości do kościoła doróżki, ubrane w pęki bibulanych, jaskrawych kwiatów.

Dorożek tych będzie cały szereg, a w nich ustrojone w muśliny dziewczęta „od stołu“ — i same „cepry“ w surdutach, a górali może trzech, czterech co najwyżej.

Tecia mieć będzie białą sukienkę i welon. Nagłowie mirt świeży i woskowe, pachnące gromnicą kwiaty. Rękawiczki białe bawełniane dał jej Franek, bo on, jako lokaj ma kilka par w zapasie. Na waselu będzie grać muzyka, i dużo będzie wódki i piwa. Surdut Franka robił miejscowy krawiec i ma najdłuższe poły i najszersze klapy ze wszystkich surdutów gości weselnych. Buty żółte nowe, skrzypiące, o jedwabnych sznurowadłach, krawat czysto jedwabny, słowem, wszystko...

I za to zapłaci Tecia swoją biedną „po ojcach“ zostałą własnością.

Przyniesie mu w daninie swoją uległość, swoje mienie, swoją całą istotę.

I będzie już wiecznie do niego należała ona — jej przeszłość zniszczona i przyszłość, ukształtowana według jego woli i pojęć. To wszystko stanie się w jeden dzień, w słoneczny, cichy dzień, w którym się odbędzie Teci smutne wesele...

Gabrjela Snieżko-Zapolska.



HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

Wstał, postąpił parę kroków, zachwiał się i padł jak długi na ziemię. Zemdlał. Dwaj panowie ponieśli go na górę i z wielką ostrożnością położyli na sofie. Leżał, słabo tylko oddychając, z przymkniętemi oczyma, z pięściami zaciśniętemi. Kiedy niekiedy wstrząsnął nim dreszcz konwulsyjny.

— Jeden z nas musi iść po doktora — rzekł Aribert.

— Pójdę zaraz — odparł Racksole.

W tej chwili rozległo się lekkie pukanie do drzwi werendy; książę i Amerykanin z przerażeniem odwrócili głowy. Ujrzeli Nellę, naciskającą klamkę; Racksole odemknął zasuwkę i młoda dziewczyna weszła do pokoju.

— Przecież odnalazłam panów! — mówiła chłodno — należało wam uprzedzić mnie o waszych zamiarach. Nie mogłam zasnąć; pytałam służbę hotelową, czyście udali się na spoczynek, a otrzymawszy odpowiedź przeczącą, domyśliłam się, gdzie was szukać wypada.

Racksole chciał dać córce napomnienie za nową eskapadę, ona przerwała mu pytaniem:

— Kto to jest?

Wskazywała na mężczyznę leżącego na sofie.

— Mój synowiec, książę Eugenjusz — objaśnił Aribert.

— Czy ranny? — dowiadywała się obojętnie.

— Chory — tłómaczył Racksole — dostał pomieszania zmysłów.

Nella badała stan zemdlonego księcia ze znajomością kobiety, która uczyła się pielęgnowania chorych w jednym z pierwszorzędnych szpitali w New-Yorku.

— Ma poprostu zapalenie mózgu — oświadczyła — lubo i to stanowi niemałe dla niego niebezpieczeństwo. Czy w tym osobliwym domu możnaby znaleźć łóżko?

XVIII.

W porze nocnej.

— Musi być koniecznie stąd przeniesiony — dowodził małego wzrostu, ciemnej cery doktór Belgijczyk; patrzał z za okularów przenikliwym wzrokiem, a zdanie swoje wygłaszał z wielką stanowczością.

Określenie przez lekarza rodzaju choroby stanowiło tryumf dla Nelli, która przed przyjściem doktora charakter jej odgadła trafnie. Zanim jednak wezwano pomocy obcego człowieka, radzono nad tem dłuższą chwilę. Książę Aribert głosował za zachowaniem całej sprawy w tajemnicy. Miljoner godził się ze zdaniem księcia, ale obstawał przy tem, izby bez względu na wyniknąć mogące niebezpieczeństwo, przywieźć chorego do Anglji; Racksole dowodził, że we własnym hotelu przeciwdziałać skuteczniej zdoła intrygom ukrytych wrogów. Nella stanęła w opozycji. Jako doświadczona pielęgniarka chorych, starała się przekonać obu panów, że stan księcia Eugenjusza groźniejszy niżeli to przypuszczają, radziła więc objąć w posiadanie dom cały i czekać w nim chwili rekonwalescencji księcia.

— A co zrobimy z tą Spencer, łotrem rodzaju żeńskiego? — pytał Racksole.

— Trzymajcie ją na uwięzi, jak obecnie i brońcie obcym przystępu do domu. Gdyby zjawił się Juljan, nie puścicie go, rzecz prosta. Skoro was jest dwóch, jeden musi strzedz wejścia i odprawiać nieproszonych gości, a drugi pilnować panny Spencer; ja zajmę się chorym. Przedewszystkiem jednak trzeba posłać po lekarza.

— Po lekarza! — zawołał książę Aribert — czyż nie będziemy zmuszeni wyjaśnić doktorowi okoliczności?...

— Bynajmniej — uspokajała go Nella. — W mieście takiem jak Ostenda, lekarze przywykli do dyskrecji, nie zbadają ludziom pytań niepotrzebnych; tyle widzą faktów nadzwyczajnych, że ich to oducza ciekawości. Czy zresztą książę dozwoliłbyś umrzeć synowcowi twemu, nie szukając dla niego ratunku?

Dwaj mężczyźni, uznając, że roztropna dz ewczyna wyprzedza ich bystrością umysłu, że najlepiej rozumie trudności położenia i najskuteczniej umie im zaradzić, poddali się z uległością jej decyzji. Ojcu poleciła Nella iść zaraz po doktora, a księciu dała inne zlecenia, które on spełnił bezzwłocznie.

Wieczorem dnia następnego wszystko szło już właściwym trybem; lekarz przychodził parę razy, przysyłał lekarstwa i zdawał się zapatrywać optymistycznie na przebieg choroby. Najęto starą kobietę do gotowania i porządku w domu. Pannę Spencer trzymano zamkniętą w pokoju na górze i namyślano się, co z nią robić wypadało. Nikt obcy nie przychodził i nie zadawał ciekawych pytań. Mieszkańcy odosobnionej dzielnicy zdawali się przyzwyczajeni do niezwykłego zachowania lokatorów zagadkowego domu, do nagłego ich ukazywania się i znikania, niespodziewanych przyjazdów i odjazdów. Nieustraszona, czynna trójka: Racksole, Nella i książę Aribert mogli zostać stałymi lokatorami, lub prawymi właścicielami domu, nie zwracając przez to niczyjej uwagi.

Po południu trzeciego dnia stan księcia Eugeniusza pogorszył się znacznie. Nella czuwała przy nim przez noc i dzień cały; ojciec jej spędził poranek w hotelu, a książę Aribert stał na warcie. Dwaj mężczyźni nie wydalali się nigdy jednocześnie, jeden z nich zawsze trzymał straż w nocy. Tego popołudnia książę Aribert i Nella czuwali razem w pokoju chorego. Lekarz tylko co odszedł, a Racksole czytał na dole „New-York Herald'a". Książę i Nella siedzieli przy oknie, wychodzącem na ogródek od podwórza. Ciasna, nędzna to była izdebka, służąca za chwilowe schronienie tak dostojnej osobistości, jak Eugeniusz, panujący książę von Rüdesheim. Rzecz dziwna, że Nella i jej ojciec, oboje zapaleni demokraci, odczuwali urok stanowiska, złożonego chorobą pacyenta; on, leżąc rozgorączkowany na łóżku, budził w nich większe poszanowanie, niżeli silny, zdrów książę Aribert. Pieczołowitością i staraniami otaczali nieznany im dotychczas typ indywidualności, różny zupełnie od tych, jakie spotykali dawniej. Nawet majaczenie chorego w malignie miało nawykły do rozkazywania ton mowy, łączący brzmienie słodyczy z akcentem pańskiej wyniosłości. Nellę zachwycało pięknie wyhaftowane, z koroną książęcą E na rękawach jego koszuli, jak również odbite na sygnecie, zdobiącym delikatną, wychudzoną rękę. Drobiazgi takie, wpadające w oko, silniejsze nieraz czynią wrażenia od głębszego znaczenia, ale nie tak widocznych wyróżnień. Zarówno ojciec, jak córka, zauważyli, że zachowanie księcia Ariberta względem synowca obok opiekuńczej troskliwości, nacechowane było poszanowaniem głębokiem, co świadczyło, że książę Aribert mimo wszystko uważał Eugeniusza za swego pana i monarchę, któremu zawsze przodujące należało się miejsce. Taki stosunek z początku wydał się Amerykanom nieszczerym, zwolna jednak przekonywali się, że było to nieuzasadnione przypuszczenie, że chociaż Ameryka odrzuciła wszystkie monarchiczne przesądy, te przesądy przechowywały się w całej sile w drugiej części starego świata.

— Pani i pan Racksole byliście niezwykle dobrymi dla mnie — odezwał się książę Aribert po dłuższej chwili milczenia.

— Jakto? — zapytała z nieudanem zdziwieniem — wszak nas samych żywo obchodzi sprawa, rozpoczęta w naszym hotelu. Zechciej nie zapominać o tem, mój książę.

— Nie zapominam o niczem — odparł Aribert — niemniej odczuwam wyrzuty sumienia, że państwa naraziłem na kłopoty. Pani i pan Racksole, którzy, jak to ludzie przypuszczają, mieliście odbyć wycieczkę dla przyjemności, zamknięci jesteście w tym zagadkowym domu, w obcym kraju, wystawieni na różne przykrości i niebezpieczeństwa, dlatego tylko, że pragnąłem oszczędzić skandalu i złośliwych plotek memu nierozważnemu synowcowi. Wszak dla państwa rzeczą obojętną, że panujący książę von Rüdesheim straci opinię i popadnie w niełaskę u cesarza, że jego państwo stanie się celem pośmiewiska całej Europy?

— Nie umiałabym na to księciu odpowiedzieć — odparła Nella żartobliwie — tylko my Amerykanie mamy zwyczaj, gdy co raz zaczniemy, dążyć wytrwale do końca.

— Ah! kto wiedzieć m›że, jaki ta sprawa mieć będzie koniec! — zauważył ze smutkiem Aribert — czy nasze starania, zabiegi, niepokoje nie okażą się bezowocne! Wyznam szczerze, że doprowadza mnie do szaleństwa widok Eugeniusza w tym stanie i niemożność dowiedzenia się od niego prawdy. My układamy plany, usuwamy przeszkody, a nie wiemy, gdzie leży źródło złego. Gdyby pani, pann› Racksole, z tego powodu przytrafić się miał jaki wypadek, odebrałbym sobie życie z rozpaczy.

— Dlaczego? — zagadnęła. — Przypuściwszy nawet, żeby mi się przytrafiło co przykrego, dlaczego ma to pana doprowadzać do rozpaczy?

— Bo ja panią wciągnąłem w tę nieszczęsną intrygę — odparł, nie spuszczając jej z oka. — Ciebie ta sprawa nie obchodzi; wzięłaś w niej udział przez dobroć serca.

— Skąd pan wiesz, że mnie ona nie obchodzi? — spytała żywo.

W tej chwili chory poruszył się niespokojnie na łóżku; młoda dziewczyna pobiegła do niego. Stojąc u wezgłowia, spojrzała na księcia Ariberta wzrokiem jasnym, błyszczącym, on odpłacił jej płomiennem wejrzeniem. Miała na sobie suknię podróżną i długi, biały fartuch pielęgniarki; ciemna dokoła oczu obwódka świadczyła o zmęczeniu, niedospanych nocach; książę zauważył bladą jej cerę i zapadłe policzki. Aribert patrzył ciągle na nią z wyrazem smętnego współczucia.

— Pójdę się położyć — rzekła wreszcie. — Pan będzie wiedział kiedy dać lekarstwo?

— Śpij spokojnie — mówił szeptem, drzwi przed nią otwierając ostrożnie; po chwili został sam tylko z Eugeniuszem.

Na niego wypadała kolej czuwania tej nocy, strzeżenie śpiących od jakiej niepożądanej wizyty, jakiego najścia lub fortelu ze strony Juliana. Racksole sypiał w saloniku na dole, Nella miała swój pokój na pierwszem piętrze, a panna Spencer zamknięta była w izdebce pod strychem; eksbuehalterka zachowywała się bardzo spokojnie, pożywienie odbierałe z rąk Nelli, nie zadając pytań żadnych. Stara posługaczka wracała na noc do siebie; mieszkała w domu nad morzem, obok przystani.

Długie godziny Aribert siedział w milczeniu obok łóżka synowca, wpatrując się pilnie w rozgorączkowane, nieprzytomne jego oblicze, jakby chciał w tej zbolałej twarzy wyczytać ukrywaną przez Eugeniusza tajemnicę. Ariberta trapiła myśl, że gdyby mógł choćby przez pół godziny, choćby przez kwadrans pomówić z chorym, odzyskującym chwilę przytomności, wszystko dałoby się wyjaśnić, naprawić; niestety, tej przytomności umysłu nie należało oczekiwać u biednego młodzieńca, póki trwała gorączka. (C. d. n.).

KRONIKA.

Pogoda w Zakopanem przepiękna. Ubiegłej niedzieli szczyty pokryły się śniegiem, śniegu coraz to więcej przybywało przez dzień cały, tak, że w Poniedziałek nawet niższe góry jak Kopa Królowej, Czerwone Wirchy, Kopa Magóry iskrzyły się w słońcu przeczystą bielą. Drugi to raz już w bieżącym roku mamy ten przepiękny widok gór ośnieżonych przedwcześnie (po raz pierwszy śniegi spadły pośród lata, i trwały trzy dni). Obecnie na niższych wierzchołkach śnieg taje, zpowodu czego temperatura cokolwiek się obniżyła. Słońce jednak zwłaszcza w południowych godzinach przygrzewa dobrze tak, że za dnia chodzić można bez płaszczów. Górale sądzą, że śnieg na szczytach nie staje już, i wróżą wczesną i łagodną zimę.

P. Stefan Żeromski (Zych) przyjechał do Zakopanego i zabawi tu całą zimę.

P. Adolf Nowaczyński wyjechał do Krakowa.

Ku uczczeniu 86-tej rocznicy zgonu Tadeusza Kościuszki odbędzie się w niedzielę d. 18 października w sali hotelu Turystów uroczyste zebranie członków „Sokoła i ich rodzin. Na program złożą się produkcje amatorskie. Dla członków „Sokoła“, ich rodzin i gości wstęp wolny. Początek wieczoru o godzinie 5-tej popołudniu.

Odznaczenie zakładu dra Chramca. Generalna Jury międzynarodowej wystawy uzdrowisk we Wiedniu, przyznała drowi Chramcowi, właścicielowi zakładu wodoleczniczego i naczelnikowi gminy w Zakopanem najwyższe odznaczenie t. j. dyplom honorowy z prawem do wielkiego złotego medalu za wzorowe urządzenie Zakładu i wybitnie dodatnią pracę około rozwoju Zakopanego.

Czytelnie. 1) Klimatyczna czytelnia czasopism, w biurze Komisji klimatycznej, otwarta cały dzień, bezpłatna.

2) Wypożyczalnia w księgarni Zwolińskiego.

3) Czytelnia czasopism i wypożyczalnia książek Stowarzyszenia „Czytelnia Zakopiańska“, willa Polanka obok poczty. Dla członków bezpłatna, dla obcych abonentów za opłatą 3 Kor. miesięcznie. Cały dzień otwarta.

Poczta otwarta od 8-ej rano do 12-ej w poł. i od 2-ej do 6-tej popoł., w niedzielę od $8^1/_2$ do $11^1/_2$ rano i od 3 do 4 popoł. W niedzielę i święta w godzinach popołudniowych nie można nadawać przesyłek pocztowych i ani odbierać, ani nadawać przekazów pieniężnych. **Telegraf** otwarty jest od 7-ej rano do 9-ej wieczór bez przerwy. **Telefon** funkcyonuje w tych samych godzinach, co i telegraf. **Listy roznoszone są** o 8 ej rano i 4-ej popoł. **Paczki rozwozi się** o 8-ej rano i o 4-ej popołudniu. Za rozwożenie paczek pobiera się opłatę: od paczki do $1^1/_2$ kg. 6 hal., do 5 kg. 10 h. do 10 kg. 20 hal, nad 10 kg. 30 hal.; jeśli jest kilka paczek bierze się jedną należytość od najcięższej, a od reszty po 6 hal. bez względu na wagę.

Ruch pociągów zakopiańskich.

Odchodzą z Krakowa do Zakopanego:	o 9 min. 2 rano	o 11 min. 40 wieczór.
Przychodzą do Zakopanego:	o 7 min. 5 rano.	o 4 min. 5 po poł.
Odchodzą z Zakopanego do Krakowa:	o 9 min. 20 rano	o 4 min. 35 po poł.
Przychodzą do Krakowa:	o 6 min. 6 rano	o 4 min. 40 po poł.
Odchodzą z Zakopanego do Lwowa przez N. Sącz i Tarnów:	o 9 min. 20 rano.	
Przych. do Lwowa:	o 2 min. 31 po poł.	

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Dr Antoni Beaupré.

Druk W. Korneckiego w Krakowie.